TYGODNIK POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, WYDAWCA I WŁAŚCICIEL, 532 NOBLE STR., CHICAGO ILL.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI·

W Stanach Zjednoczonych i Canadzie.. $1.00.

Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej, Azyi, Afryki i Australii........ $1.50.

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JE[illegible]IE NA CAŁY ROK I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 9. Chicago, Ill., Czwartek, 3-go Marca, 1898. Rok XII.

Książe Srebrny.

POWIEŚĆ Z CZASÓW IWANA GROŹNEGO

HR. TOŁSTOJA.

(Z rosyjskiego przełożył W. Grajnert).

(Ciąg dalszy).

— A później — dalej ciągnął Maluta, z podniesionym głosem — pozwól mnie nędznikowi, podłego rodu, z twoich książęcych pleców pasy wykrajać! Pozwól mi, chłopowi, bojarską skórę zdjąć na czaprak dla koni. Pozwól mi, śmierdzącemu niewolnikowi wielmożnem twojem mięsem psy swoje nakarmić.

Głos Maluty, zwykle gruby, podobnym był teraz do wycia szakala, do czegoś między płaczem i śmiechem.

Włosy Srebrnemu się najeżyły. Gdy po raz pierwszy Jan skazał go na śmierć, twardą nogą wstępował na płachtę; ale tutaj, w ciemnicy, w łańcuchy okuty, głodem wymorzony, nie mógł przenieść tego głosu i wzroku.

Maluta jakiś czas upajał się wrażeniem, jakie sprawił na Srebrnym.

— Kniaziu! — zawył nagle, rzucając nóż i na równe wskakując nogi — pozwól mi przedewszystkiem oddać dług honorowy.

Tu, zacisnąwszy zęby, podniósł dłoń do góry i zamierzył się na Nikitę Romanowicza.

Krew Srebrnemu uderzyła do głowy. Uczuł wstręt, jaki uczuwamy na widok podłego stworzenia, chcącego się o nas otrzeć, i utkwił rozpaczliwy wzrok w Godunowie.

Wówczas podniesiona ręka Maluty schwytaną została w powietrzu przez Borysa Fedorowicza.

— Grygorij Łukjanycz — rzekł Godu-

now, nie zmieniając swego spokoju — jeśli go uderzysz, rozbije sobie głowę o ścianę, i nie będziemy mieli kogo torturować, ja znam tego Srebrnego!

— Precz! — zawył znowu Maluta — nie przeszkadzaj mi nad nim się pomścić! Niech mu oddam za Djablą Kałużę!

— Upamiętaj się, Grygorij Łukjanowicz, my odpowiadamy za niego przed carem! — i schwycił Malutę za obie ręce.

Ale jak dzika bestya, gdy poczuła zapach krwi, Maluta na nic już nie zważał. Z krzykiem i przekleństwem wpił się w Godunowa, i chciał go przewrócić, by rzucić się na swą ofiarę. Wszczęła się między nimi walka, świecznik spadł na ziemię i zgasł pod nogami Godunowa.

Maluta przyszedł do siebie.

— Ja powiem carowi — rzekł chrapliwym głosem — że się ujmujesz za zdrajcą.

— A ja — odparł Godunow — powiem carowi, że chciałeś zabić jego zdrajcę bez badania, bo się boisz tego, co on powie.

Coś na kształt ryku wyrwało się z piersi Maluty. Wypadł z ciemnicy, wołając kata.

Przez ten czas, gdy ci po omacku szukali schodów, Srebrny uczuł, że mu spadują łańcuchy i że może się ruszać.

— Nie rozpaczaj, kniaziu — szepnął mu do ucha Godunow, silnie ściskając jego rękę — główna rzecz, wygrać na czasie.

Borys podążył za Malutą. Zamknął jednak wprzódy szczelnie drzwi za sobą.

— Grygorij Łukjanycz — rzekł do Skuratowa, dognawszy go w wyjściu i podając mu klucze — nie zamknąłeś więzienia. Tak robić się nie godzi, mogą pomyśleć, że za Srebrnym trzymasz.

* * *

Ranek był piękny. Sokolnicy wyjechali konno, w błyszczącym stroju, z sokołami w ręku, i oczekiwali cara w polu. Nie nadarmo, widać, mówiono dawniej, że polowa zabawa rozwesela smutne serca, bo carowi na widok błyszczących sokolników twarz rozjaśniała. Na miejsce zebrania były naznaczone pola: poręba o dwie wiorsty za Słobodą włodzimierską drogą.

Starszy sokolnicy w czerwonym atłasowym kaftanie, złotą taśmą oblamowanym, w białej czapce, żółtych butach i w ozdobnych rękawicach zeskoczył z konia i podszedł do Jana w towarzystwie młodego sokolniczego, który trzymał w ręku białego sokoła, z obróżką i dzwoneczkami.

Pokłoniwszy się carowi w pas, sokolniczy spytał:

— Czy czas już, carze, zacząć łowy?

— Można — odpowiedział Jan.

Tu sokolniczy podał carowi bogatą rękawicę, na której były wyryte złotemi literami różne przypowieści z Pisma św., i wziąwszy sokoła od swego towarzysza, posadził go carowi na rękę. Zaczem, zwracając się do opryczników, rzekł: Poczciwi i dobrzy strzelcy, cieszcie się i używajcie pięknych i mądrych łowów! niech znikną wszelkie troski i niechaj się radują serca wasze!

Zaś do sokolników w te ozwał się słowa: Dobrzy i pilni sokolnicy, puszczajcie sokoły!

Ci wnet rozsypali się po polu: jedni z krzykiem wpadli w poręby, drudzy popędzili do niewielkich jezior, niby zwierciadełka między krzami rozrzuconych.

Stada kaczek wyrwały się z trzciny i ruszyły w górę.

Strzelcy podpuścili sokoły. Kaczki chciały napowrót ukryć się w jeziorach, ale tam je spotkały inne sokoły, aż te w strachu rozpierzchły się po powietrzu jako strzały.

Sokoły ośmielone krzykami podszczuwaczy, napadały na kaczki, albo je doganiając, albo wyprzedziwszy i wtedy spotykali się wrogowie oko w oko, albo z góry na dół, spadając jak kamień na grzbiet ofiary.

Najzaciętszym jednak wrogiem ptaków był carski sokół Adragan. Dwa razy podpuszczał go car, i dwa razy długo szybował w powietrzu, za każdem uderzeniem jego spadał ptak, aż nacieszywszy się w końcu, przylatywał napowrót na carską rękawicę. Trzeciego zaś razu wpadł Adragan w taką wściekłość, że uderzał nawet na sokoły, które nieostrożnie przelatywały koło niego. Sokół Mędrek i sokolik Kółko padły na ziemię z rozciętemi skrzydły.

Daremnie car i sokolnicy starali się przywabić Adragana czarnem suknem i ptasiemi piórami. Biały sokół robił w powietrzu

szerokie koła, wznosił się tak wysoko, że go nawet dojrzeć nie było można i jak błyskawica spadał na zdobycze.... i znów wzbijał się w górę i odlatywał daleko... daleko!...

Starszy sokolniczy, nie mając już nadziei ujrzeć Adragana, wręczyć chciał carowi drugiego sokoła. Ale car lubił Adragana i ogromnie się zmartwił, że zaginął jego najlepszy ptak.

— Który sokolnik miał pilnować Adragana? spytał.

— Pryszka — odparł sokolniczy.

Jan kazał przywołać Pryszkę.

— Człowiecze — rzekł doń — tak to ty baczysz na mojego sokoła? Po co ci wabidło, kiedy ptaka przywabić nie możesz? Słuchaj, Pryszka, w twoim ręku los twój; jeżeli odnajdziesz Adragana, wynadgrodzę cię hojnie, jak jeszcze żaden z was nagrodzonym nie był; a jeśli zginie sokół, wybacz, ale każę ściąć ci głowę i to będzie dla wszystkich nauką; ja już zauważyłem oddawna, że nie ma karności u sokolników.

Tu Jan spojrzał z ukosa na samego sokolniczego, który zbladł, bo wiedział, że car nadarmo takim wzrokiem nigdy na nikogo nie pogląda.

Pryszka, nie tracąc czasu, wskoczył na koń i popędził szukać Adragana, modląc się do swego patrona Pryfona, by mu dopomógł w odnalezieniu zginionego sokoła.

A polowanie ciągnęło się dalej. Wiele już różnego rodzaju zdobyczy pozawieszali strzelcy na trokach, gdy nowy widok zwrócił na uwagę Jana.

Włodzimierską drogą wlokło się dwóch ślepych, jeden w sile wieku, a drugi starzec, o siwej kędzierzawej głowie i długiej brodzie. Obaj mieli na sobie białe, stare koszule, a na płóciennych szmatach, przeciągniętych na krzyż przez plecy, wisiały u każdego po jednej stronie worek dla zbierania jałmużny, a po drugiej podarty kaftan, który, dla wielkiego gorąca, zdjęli. Resztę rzeczy, jako to: gęśle, bałałajki i torbę z chlebem niósł trzeci drągal, który im służył za przewodnika, a którego z początku młodszy ślepy trzymał się za ramię, prowadząc starego za sobą. Ale przewodnik był, widać, wielki gapa, bo się zagawronił na strzelców a o towarzyszach zapomniał; ślepi pozostawili widomego w tyle i jeden drugiego się trzymając, macali ziemię wysokiemi kijami i co chwila się potykali. Patrzący na nich Iwan Wasiliewicz nie mógł się wstrzymać od śmiechu. Podjechał ku nim bliżej. W ten sam prawie moment ślepy, idący na przodzie potknął się, wpadł do kałuży i pociągnął za sobą towarzysza. Obaj podnieśli się zamorusani błotem jak nieboskie stworzenia i zaczęli plwać i na przewodnika wymyślać, a ten jak się gapił, tak się gapił na połyskujących opryczników, jeno jeszcze usta otworzył.

Car głośno się śmiał.

— Co wy za jedni, zuchy? — spytał — zkąd idziecie i dokąd.

— Odjeżdżaj, bracie — odpowiedział na to młodszy ślepy, nie zdejmując czapki — zanadtoś ciekawy, prędko się zestarzejesz.

— Durniu — krzyknął jakiś opryocznik — nie widzisz kogo masz przed sobą.

— Tyś sam dureń! — krzyknął także ślepy, przyczem wytrzeszczył na opryocznika białka — jak mam widzieć, kiedy oczów nie ma? Ty, to rzecz inna, masz cztery bez dwóch, widzisz lepiej i dla tego takiś zuch! Mów kto jest predemną, to będę wiedział.

Car mrugnął na opryocznika aby był cicho, i powtórzył łagodnie swoje pytanie.

— My jesteśmy ludzie weseli — odrzekł ślepy -- byliśmy w różnych wsiach i siołach, idziemy z Muromu do Słobody, grać na gęślach i cieszyć ludzi, a przy tej sposobności napić się wódki.

Carowi podobały się odpowiedzi ślepego i rzekł wesoło:

— Aha! to co innego! to wy jesteście Muromcy, wiercące boby! A jest li jeszcze jaki u was bohatyr na Muromie?

Ślepy ani się zająknął:

— Jeszcze by też! tego towaru tam nie zbraknie; jest wujcio Michej, sam się podnosi za włosy na kilka cali w górę i jest ciocia Uljana, sama chodzi na tarakana.

Wszyscy opryocznicy gruchnęli śmiechem. Car dawno już nie był tak wesół.

"Rzeczywiście, że weseli ludzie", pomyślał, "widać, nie tutejsi. Sprzykrzyli mi się już moi bajkarze; ciągle jedno opowiadają. I od gęślarza ani jednego słówka śmieszne-

go doprosić się nie można, od czasu jakem z którymś za ostro pożartował! tak mnie się boją, jakby to moja była wina, że temu durniowi tak słabo łeb na karku siedział!"

— Słuchaj bobek, bajki opowiadać umiesz?

— Jakie tam bajki! — burknął ślepy — komu je gadać! Oto niedawno opowiadaliśmy wojewodzie staryckiemu o kosmatej kozie, i akurat na swoją zgubę! koza to widzisz, była niby sama wojewodzina. Wojewoda nas przepędził i na drogę skórę wygarbował, aż nam się bajek odechciało!

Trudno sobie wystawić śmiech, jaki się rozległ między oprycznikami, wojewoda bowiem starycki był w niełasce u cara. Żart ślepemu udał się jak najlepiej.

— Idźcie boby — rzekł car — idźcie do Słobody, prosto na mój dworzec i czekajcie, powiedzcie że car was przysłał. Niech was tam nakarmią, napoją, a jak wrócę do domu, posłucham waszych bajek.

Na to słowo: car, ślepi padli na kolana.

— Batiuszka car — błagali — nie karz nas za nasze chłopskie słowa, nie chciej żeby z karku spadła nasza głowa!

Car uśmiechnął się ze strachu ślepych i pojechał w pole, a ci z przewodnikiem powlekli się ku Słobodzie.

Póki mogli być widziani przez opryczników, idąc, trzymali się jeden drugiego, ale gdy na skręcie drogi skryli im się z oczu, młodszy ślepy przystanął, rzucił dokoła wzrokiem i rzekł do towarzysza:

— Hę, dziadziu Jastrzębiu, pewno cię znurzyło takie potykanie? Jakoś dotąd idzie nie źle, co to będzie dalej? Ale cóż ty dziadziu takeś brwi zmarszczył? czy ci żal żeś się ze mną wybrał?

— Nie to — odparł stary rozbójnik — jakiem przystał to się nie wrócę. tylko sam nie wiem, co się ze mną stało, tak mi ciężko na sercu, jak nigdy nie było a wciąż jedno ciśnie się do głowy.

— A cóż ci się znów ciśnie?

Zaś Jastrząb mówił dalej:

— Wiele już swych przestępstw zapomniałem, jednego zapomnieć nie mogę. Będzie temu lat dwadzieścia, przebrałem się za żebraka, torbę na szyi zawiesiłem, nóż za pazuchem i marsz oczekiwać przy drodze, czy kogo nie spotkam. Czekam sobie, czekam, ani obozu, ani kupca i nikogo nie widać. Piekielniem się zniecierpliwił. Kiedy Bóg, mówię, nie daje mi zarobić, to teraz każdego, kto tylko przejdzie, obedrę do samej koszuli, i niechby to był nawet mój rodzony ojciec! Tylkom co tak pomyślał, aż tu idzie jakieś biedne babsko z łykowym koszyczkiem. Ja wyskakuję z za krzaków — stój — mówię — babo, dawaj zawiniątko! Ona mi do nóg: "bierz co chcesz, a koszyczka nie tknij." — He, myślę sobie, masz ty tam, widać, grosiwo, i szarp jej z rąk koszyk. A baba nuż mnie błagać, wydzierać i po rękach kąsać. I tak już zły, że mi się nic jeszcze nie udało, teraz się rozwściekłem. Czort znów mnie podkusił. Wyciągnąłem nóż i wpakowałem babie w gardło. Jak tylko stara klapła na ziemię, strach mnie wielki zdjął. Zacząłem uciekać, alem się upamiętał i wrócił po zawiniątko. Myślę sobie: zabiłem babę, niech nie darmo przynajmniej. Wziąłem koszyczek i nie patrząc, co w nim było, puściłem się w las. Przeleciałem jaką wiorstę, nogi zaczęły omdlewać, siadłem przeto, by zobaczyć, ile niosę ze sobą pieniędzy. Rozwiązałem zawiniątko... patrzę... a tam... malutki chłopczyk... "At ty czarciku", pomyślałem, "to dla tego mi baba nie chciała dać zawiniątka! To przez ciebie, przeklętniku, wziąłem ciężki grzech na swoją duszę!"

Tu Jastrząb urwał i zamyślił się.

— Cóżeś z dzieckiem zrobił? — spytał Pierścień.

— A cóż, miałem niańczyć, czy co? to się wie com zrobił.

Stary znów się zasępił.

— Atamanie — rzekł nagle — jak pomyślę o tem, serce się kraje; szczególniej dzisiaj, tak mi to stoi przed oczami, jakby się dopiero wczoraj działo. I nie wiem co się dzisiaj ze mną stało, że nawet mordy o których dawno już zapomniałem, ciągle mi krążą i krążą po głowie. Mówią, że to zły znak, jak ni ztąd ni zowąd zaczyna ci się przypominać to co już dawno wyszło z pamięci.

Starzec smutnie westchnął.

Obaj opryszkowie milczeli. Nagle padł pod nogi starca bury jastrząb i w tej samej chwili sokół Adragan przeleciał po nad ich

głowami, nie spojrzawszy nawet na swoją ofiarę.

Mitka kiwnął ręką. Ujrzał zdala sokolników.

— Dziadziu — rzekł szybko Pierścień — zapomnij o dawnem, teraz przecie nie jesteśmy rozbójnikami, tylko ślepymi gęślarzami. Pędzą carscy słudzy, wnet tu będą; nie martw się, musimy z nimi pokpić.

Stary opryszek zaś, wskazując na zabitego jastrzębia, w te ozwał się słowa:

— Oto moja wróżba To mnie ściął biały sokół. Widzisz i nie ma go już, zabił i przepadł!

Pierścień smutnie spojrzał na starca.

— Słuchaj, dziadziu, nie wiem co się z tobą dzisiaj dzieje, ale ja cię zmuszać nie będę, może twoje serce i nie napróżno przeczuwa nieszczęście. Zostań się, ja sam idę do Słobody.

— Nie — odparł Jastrząb — ja nie do tego prowadzę. Jeśli już taka moja dola, żebym w Słobodzie głowę zostawił, to nie ma co się wracać, widać takie moje przeznaczenie. A ot do czego prowadzę: czy znasz, atamanie, na Wołdze sioło Bogorodziekoje?

— Znam.

— A Popie Koło, w bok o jakie pięć wiorst?

— I Popie Koło znam.

— A pamiętasz tam stary dąb?

— I dąb pamiętam, ale go już nie ma, zrąbany.

— To nic, ale pień jest.

— No?

— Ja już Wołgi, widzisz, nigdy więcej nie obaczę, a ty pewnie jeszcze kiedy zajrzysz w rodzinne strony, to odnajdź ten pień, nalicz od niego czterdzieści pięć kroków na zachód i kop ziemię. Tam — mówił dalej Jastrząb zniżonym głosem — zakopałem dawnemi czasy skarb. Odkopiesz — wszystko będzie twoje, nie zabiorę przecie złota na tamten świat, a jak pomyślę, że będę odpowiadał za to, com tutaj nabroił — aż krew się ścina w żyłach. Ty atamanie zakup nabożeństwo za mą duszę, zapłać popu dobrze, niech się modli należycie, nie przepuszcza. Imię mi, wiesz, Ameljan; Jastrzębiem ludzie mnie przezwali a ochrzcony jestem Ameljanem. Niech odprawi mszę za Ameljana, a ty zapłać mu dobrze, pieniędzy nie żałuj, atamanie; wszystko, co odkopiesz, będzie twoje, starczy ci złota na całe życie...

Jastrzębiowi przerwali sokolnicy.

— Hej ubodzy — rzekł któryś — nie widzieliście dokąd uciekł sokół?

— Chciałbym powiedzieć poczciwi — odparł Pierścień — ale już czterdzieści lat przeszło, jak sobie oczy zapruszyłem.

— A czemże to?

— Ha tak — poszedłem sobie jednego razu w góry drzyć łyko z kamieni, widzę — rośnie dąb, a w dziupli piszczą pieczone kurczęta. Wlazłem do dziupli, zjadłem kuraki, zgrubiałem — wyjść nie mogę. Co tu począć? Pobiegłem do domu po topór, obciosałem dziuplę i wydostałem, ale, widać przy ciosaniu oczy sobie zapruszyłem wiórami; od owego czasu nic nie widzę; nieraz jem zupę, a łyżkę do ucha pakuję; swędzi nos, a ja się drapę po plecach.

Sokolnik zaczął się śmiać.

— To wy jesteście ci ślepi, co z carem mówili, bojarzy jeszcze i teraz pękają ze śmiechu. No chłopcy, myśmy we dnie pocieszali cara, a wy w nocy będziecie zabawiać jego carską miłość. Podobno car chce posłuchać waszych bajek.

— Daj Boże zdrowie jego carskiej miłości — podchwycił Jastrząb, zmieniwszy się nagle — dla czegóż nie ma posłuchać! Jeżeli do nocy nie wywichniemy języków, możemy mu opowiadać do samego rana.

— Dobrze, dobrze — odpowiedzieli sokolnicy — na drugi raz pobawimy się z wami, a teraz jedziemy szukać sokoła, ratować towarzysza. Nie znajdzie Pryfon Adragana, djabli mu głowę wezmą; car nie żartuje.

Sokolnicy odjechali, a Pierścień i Jastrząb, znowu uczepiwszy się Mitki, ku Słobodzie pocłapali.

Nie dochodząc do pierwszego podwórza, ujrzeli dwóch pieśniarzy, którzy buczeli na bałabajkach i krzyczeli na całe gardło:

Oj u naszego sąsiada,
Wesoła była biesiada!

Gdy się rozbójnicy zrównali z nimi, jeden z pieśniarzy, rudy, z pawiem piórem u

czapki, nachylił się do Pierścienia:

— Już pięć dni twój kniaź w więzieniu — szepnął, wszystkiem kąty przepatrzał. Siedzi w lochach, naprzeciw domu Maluty. Z którego końca puścić koguta?

— Z tego — Pierścień mrugnął w stronę przeciwną więzienia.

Rudy pieśniarz wyrznął wszystkiemi palcami po brzuchu bałabajki, odwrócił się od Pierścienia, i jakby nigdy nic, śpiewał dalej cienkim głosem:

Oj u naszego sąsiada,
Wesoła była biesiada!

XXI.

Bajka.

Iwan Wasiliewicz, strudzony polowaniem, udał się wcześniej, niż zwykle, do swej sypialni.

Zaraz też przyszedł Maluta z więziennemi kluczami. Na zapytanie cara Grygorij Łukjanycz rzekł, że nic nowego nie zaszło, że Srebrny przyznał się, jako się ujął w Moskwie za Morozowem, gdzie zabił siedmiu opryczników i rozpłatał głowę Wiaziemskiemu.

— Ale — dodał Maluta — nie chce się przyznać do zdrady przeciwko tobie, i Morozowa wydać także nie chce. Po jutrzni jeszcze raz go się grzecznie o wszystko spytam, a jeżeli po dobremu nic się ciekawego nie dowiemy, to nie ma co czekać, można z nim skończyć.

Jan nie odpowiadał. Maluta chciał mówić dalej, gdy do sypialni weszła stara mamka Onufrowa.

— Batiuszka — ozwała się — przysłałeś tutaj rano dwóch ślepych, zdaje się, że to gęślarze, czekają w sieni.

Car przypomniał sobie ranne spotkanie i kazał ich przywołać.

— A czy ty, batiuszka, ich znasz? — spytała Onufrowa.

— Bo co?

— Czy oni na prawdę są ślepi?

— Jakto? — rzekł Jan i w jednej chwili uczepiło się go podejrzenie.

— Posłuchaj mnie, carze — mówiła dalej mamka — strzeż się tych ślepych; zdaje mi się. że oni przyszli w złej myśli, strzeż się ich batiuszka, posłuchaj mojej rady.

— Co wiesz o nich? mów! — rzekł Jan.

— Nie pytaj mię batiuszka. Tego, co wiem, powiedzieć nie mogę; zdaje mi się, że oni mają złe zamiary, a dla czego zdaje, o to nie pytaj. Napróżno nikogom jeszcze nie ostrzegała. Gdyby mnie była posłuchała nieboszczka twoja matka, z pewnością i dotąd by żyła jeszcze.

Maluta ze strachem spojrzał na mamkę.

— A ty po co się na mnie gapisz? Niewinnych tracisz, a złego człowieka rozpoznać nie możesz, widać to nie twoja rzecz! Węchu do tego ci nie starczy, rudy psie!

— Carze — rzekł Maluta — pozwól mi łagodnie się wywiedzieć od tych ludzi, co oni za jedni i od kogo przysłani?

— Nie potrzeba — odpowiedział Jan — ja się sam dowiem. Gdzie są?

— Tutaj, batiuszka, za drzwiami — wskazała Onufrowa — stoją w sieni.

— Maluta, podaj mi stalową koszulkę ze ściany i idź, niby do domu, a gdy ślepi wejdą, wróć się do sieni i zaczaj z oprycznikami. Jak tylko krzyknę, wpadaj i łapcie ich. Onufrowo, podaj jesion.

Car włożył stalową koszulę, na nią czarny habit i położył się do łóżka, mając przy sobie ten sam jesion, którym niedawno przebił nogę posłowi kniazia Kurbskiego.

— Teraz niech wejdą! -- rzekł.

Maluta położył klucze pod carskie wezgłowie i wyszedł razem z mamką. Lampki przy śś. obrazach słabe rzucały światło na pokój. Car udając znużonego leżał na łóżku.

— Wejdźcie, ubodzy — rzekła mamka — car każe.

Pierścień i Jastrząb weszli ostrożnie, stąpając i machając wokoło siebie rękoma.

Jednym, bystrym rzutem oka Pierścień obejrzał izbę i znajdujące się w niej przedmioty.

Na lewo od drzwi piecyk; w kącie stało łóżko carskie i między piecem a łóżkiem było w ścianie okno, nigdy okiennicami nie zasunięte, bo car lubił, by pierwsze promienie słoneczne padały do jego sypialni. Teraz oknem widać było księżyc, którego sre-

brzysty blask igrał na kaflach pieca.

— Jak się macie ślepi muromcy, wiercące boby? — rzekł car wpatrując się w rysy rozbójników.

— Wiele lat życzymy twej carskiej miłości — odpowiedzieli Pierścień i Jastrząb, kłaniając się do samej ziemi. — Niech Matka Boska ma cię w swojej opiece, że nas biednych, nieszczęśliwych ludzi, po ziemi chodzących, po wodzie brodzących, świata bożego niewidzących nie odpychasz. Niech cię strzegą od złego śś. Piotr i Paweł, Jan Złotousty, Kuźma i Damjan i wszyscy śś. męczennicy. Daj ci Boże wszystko, o co prosisz i modlisz się. Obyś zawsze chodził w złocie, dobrze jadł i pił i słodko spał, a twoi wrogowie oby zawsze jęczeli i płakali z głodu.

— Bóg zapłać, Bóg zapłać, ubodzy — rzekł Jan, precz się wpatrując w rozbójników — cóż? widać dawno oślepliście.

— Za młodu jeszcze batiuszka car, — odparł Pierścień, kłaniając się i zginając kolana — obaj za młodu oślepliśmy, nie pamiętamy nawet, kiedyśmy widzieli boże słonko.

— A któż was nauczył śpiewać pieśni i opowiadać bajki?

— Sam Bóg, batiuszka, nauczył, sam Bóg jeszcze nauczył starodawnemi czasy.

— Jakim sposobem? — spytał Jan.

— Starcy nasi opowiadają i gęślarze śpiewają o tem: było to starodawnemi czasy, gdy wznosił się Chrystus do nieba, rozpłakali się biedni, chromi, kalecy, znaczy wszyscy żebracy; dokąd Chrystusie uciekasz; komu nas zostawiasz? Kto będzie nas karmił, poił? Odpowiada Chrystus król niebieski:

"Dam wam, mówi, górę złotą, rzekę mlekiem i miodem płynącą, ogrody z winem i jabłonie piękne; będziecie syci, napici." Wtedy rzekł Jan św.: nie dawaj im ani góry złotej, ani rzeki mlecznej, ani ogrodów z winem, ani pięknych jabłoni; napadną na nich silni, bogaci, wszystko odbiorą. Daj im jeno Chrystusie królu Niebieski imię Twoje Chrystusowe, naucz ich śpiewać piękne pieśni i o starych dziejach opowiadać, i o boskich ludziach. Rozproszą się po świecie, będą opowiadali i śpiewali; każdy ich obuje, odzieje, nakarmi, napoi. I rzecze Chrystus król niebieski: Niechże się stanie wedle słów twoich, Janie! Niechże umieją śpiewać piękne pieśni, grać na dźwięcznych gęślach i opowiadać o starych dziejach, a kto ich nakarmi, otuli, obdarzy, napoi, temu dam miejsce w raju; nie zamykają się drzwi do raju dla takich.

— Amen — powiedział Jan. — Jakież umiecie bajki?

— Różne umiemy, jakich tylko wasza miłość posłuchać raczy. Mogę powiedzieć o Jerszu Jerszowicu, synu Szczetinnikowie, o siedmiu Siemionach, o gęślach samograjach, o Dobryni Nikiticzu, o Akundinie...

— Cóż — przerwał Jan — to ty jeden tylko bajki opowiadasz, a stary po cóż przyszedł?

Pierścień dopiero teraz zwrócił uwagę, że Jastrząb prawie przez cały czas milczał, ażeby wyprowadzić go z tej niepotrzebnej dla bajkarza posępności, zaczął dowcipkować.

— Stary — rzekł, udepnąwszy nieznacznie w nogę Jastrzębia — to jest mój towarzysz, to Anielka Gudek, rozum ma on krótki, lecz długi podbródek; jak ja mówię z mięsem, ale nie z postem, on mi przygwizduje i dolewa octem. Czy tak, dziadziu, biała brodo, kurze nogi, kaczy chód, bo zbłądzimy z drogi?

Jastrząb się ocknął.

— To się wie, że tak — podchwycił — nasz puhar pełen zielonego wina, nalałeś po brzegi, to wypijże do dna; tak wujciu, koguci głosek, krecie oczko, zaczęliśmy chodzić, przyszliśmy daleczko.

Na to Pierścień jął przebierać nogami i śpiewać:

— Aj luli tararach! skaczą kozy na górach! Kozy skaczą, muchy gdaczą, a u babci Eufrozyny w lewem uchu dzwoni!...

— Aj luluszeńki luli! — przerwał Jastrząb i także zaczął przebierać nogami — siedzi rak w koszuli! Oj nie płacze rak, lecz gwiżdże w kułak.

— Eh, batiuszka car — zakończył Pierścień kłaniając się do samej ziemi — nie patrz na nas krzywo, to nie bajka, jeno tak sobie dla rozweselenia.

Jan ziewnął parę razy.

— Dobrze, dobrze, lubię takich chłopców;

zuchy jesteście, a teraz opowiadajcie no bajki, może, słuchając was, usnę.

Pierścień jeszcze raz się skłonił, zakaszlał, odchrząknął i zaczął opowiadać o Dobryni, potem o Akundinie, Gęślach Samograjach, ale żadnej mu car nie dał dokończyć. Mówił Iwan Wasiliewicz, że je zna.

— Nic innego nie umiesz? — krzyknął z gniewem już po chwili, zapominając, że powinien był śledzić za ślepymi.

Pierścień niby w strachu zgiął kolana i skłoniwszy się znów do ziemi spytał:

— Jakiej bajki żądasz batiuszka car? może ci opowiedzieć o babie Jadze? O Czuryle Plenkowiczu? a może każe wasza miłość co świętego?

Janowi przyszło na myśl, że nie powinien przestraszać ślepych, ziewnął przeto raz jeszcze i spytał śpiącym już głosem:

— A cóż ty umiesz świętego, ubogi?

— O Aleksieju bożym człowieku, batiuszka, o Józefie św., o Gołubinej księdze, o...

— No, przerwał Jan, któremu oczy, zdawały się już kleić — opowiadaj o Gołubinej księdze. Dla nas grzesznych, to może i będzie lepiej na noc coś boskiego posłuchać.

Pierścień powtórnie odchrząknął, wyprostował się i zaczął opowiadać głosem przeciągłym, do śpiewu podobnym:

“Z wielkich ciemnych chmur spadła księga Gołubina. Do tej to Gołubinej księgi zjechało się czterdziestu carów i carewiczów, czterdziestu królów i królewiczów, czterdziestu kniaziów i kniaziewiczów, czterdzieści popów i jeden popowicz, wielu bojarów i chrześcian prawosławnych. Z nich wszystkich pięciu było najmożniejszych carów: był Izajasz car, Wasilij car, Konstantyn car, Władimir car i był najmędrzejszy car Dawid...

Pierścień spojrzał z ukosa na Jana. Car leżał z zamkniętemi oczyma; usta miał otwarte jak śpiący. W tej samej chwili, Pierścień spostrzegł, że o cerkiew Słobody i dachy zabudowań odbijała się daleka łuna pożaru.

Jan smutnie westchnął, ale nie roztworzył oczu. Łuna coraz to czerwieńszą się stawała, Pierścień był w strachu, żeby się nie podniosła wrzawa w Słobodzie nim jeszcze zdołają wydostać klucze. Nie odważając się sam ruszyć z miejsca, żeby car nie spostrzegł przemiany w jego głosie, wskazał Jastrzębiowi na pożar, później na śpiącego Jana i sam dalej opowiadał.

Teraz dało się słyszeć słabe chrapanie Jana. Jastrząb wyciągnął rękę do carskiego wezgłowia, a Pierścień przysunął się bliżej ku oknu, lecz by raptownem milczeniem nie zbudzić Iwana, opowiadał precz tym samym monotonnym głosem.

Tu car nagle otworzył oczy.

Jastrząb cofnął rękę, ale już było zapóźno: wzrok jego spotkał się z wzrokiem Jana. Chwil parę nieruchomie patrzeli na siebie, niby przykuci jeden do drugiego czarodziejską siłą.

Pierwszy car wyskoczył prędko z łóżka i utopił ostry jesion w piersi starca. Rozbójnik zatoczył koło i runął.

— Hej tam — zakrzyknął znów car, wyciągając ostrze z piersi Jastrzębia.

Rozległ się szczęk broni; opricznicy wpadli:

— Łapcie obudwóch — rzekł Jan.

Jak wściekły rzucił się Maluta na Pierścienia, ale ataman z nadzwyczajną zręcznością i siłą wyrznął go kułakiem w sam dołek, wybił okno nogą i wyskoczył do sadu.

Jan w czarnej ryzie (komży), z pod której błyszczała stalowa koszulka, stał z zakrwawionym jesionem w ręku; w opryszka wlepił groźny wzrok. Przestraszeni słudzy trzymali zapalone świeczniki, łuna pożaru wciskała się przez okno. W Słobodzie powstał popłoch. W dzwony uderzono.

Jastrząb ledwie się trzymał na nogach, opricznicy go podpierali. Zmarszczył brwi, oczy spuścił, krew mu dziurgiem kapała z koszuli na ziemię.

— Ślepy — rzekł car — mów, kto jesteś i coś chciał ze mną uczynić?

— Nie ma co łgać — odparł Jastrząb — chciałem dostać klucze od twojej kasy, a do twojej carskiej osoby nic nie miałem.

— Kto cię podmówił? kto są twoi towarzysze?

(Ciąg dalszy nastąpi).

REINHOLD, CUDOWNE DZIECIĘ.

BAJKA.

(Dokończenie.)

— Tu z pewnością znajduje się ów klucz czarodziejski, który ma zniszczyć potęgę zaklęcia, pod jakim pozostają moi nieszczęśliwi szwagrowie — pomyślał sobie Reinhold i roztłukł jaje kamieniem. W samej rzeczy wewnątrz jaja znajdował się mały złoty kluczyk. Drżącą ręką porwał go Reinhold i co tchu pospieszył do stalowej bramy, aby ją otworzyć i tajemnicze głębie bu dynku naocznie zbadać. Kluczyk wprawdzie wydawał się za małym do olbrzymich zamków, ale te za lekkiem tylko jego dotknięciem same z siebie otworzyły się na oścież a wielkie żelazne rygle z łoskotem upadły na ziemię.

Rycerz nasz znalazł się pod ciemnem sklepieniem, po za którem powtórne znajdowały się bramy, ale i te sile klucza uledz musiały. Za drzwiami tymi znajdowało się siedm wspaniałych pokoi, oświeconych jasno mnóstwem wielkich świec, jarzących się w świecznikach ściennych i na długich stołach. Po za niemi było siedm komór, a wreszcie prawdziwy bajecznej piękności i bajecznego przepychu gabinet. Ściany całe były jakby z jednego dyamentu, podłoga z granitu a sufit z turkusu. W środku na olbrzymiej kanapie, na puchu z wonnych kwiatów leżała cudownie piękna młoda dziewica, pogrążona w śnie zaczarowanym. Reinhold chrząkał, kaszlał, sykał, ale piękna dziewica ani drgnęła. Naprzeciw niej na marmurowej kolumnie znajdowała się jakaś alabastrowa tablica, na której wyryte były dziwne jakieś znaki czarnoksięzkie. Reinhold domyślił się zaraz, że to jest główny talizman, od którego wszystek czar zawisnął.

Uderzył więc żelazną rękawicą w niego, chcąc go zniszczyć, ale talizman pozostał nietknięty, a piękna śpiąca podniosła się przerażona z kanapy i napowrót w twardy sen popadła, jak tylko uderzenia ustały. To powtórzyło się kilka razy, a ponieważ Reinhold nie mógł ani zupełnie zbić, ani ukruszyć tablicy, budzenie się śpiącej było tylko chwilowe. Wtenczas ujął rycerz tablicę w obydwie swe ręce i z całą siłą rzucił ją na ziemię tak, że na drobne rozpękła się kawałki; teraz dopiero zupełnie zbudziła się śpiąca i z wielkiem zdziwieniem spytała się Reinholda, w jaki sposób tutaj się dostał i kto mu tajemnicę czasu wyjawił. Dowiedziawszy się o wszystkiem dokładnie, podziękowała mu serdecznie i rzekła:

— Wyjdźmy ztąd coprędzej, bo mieszkanie to, choć tak piękne, obrzydzenie i wstręt we mnie obudza. Już nie wiem nawet, ile lat tutaj marnie przespałam, jak w najsroższem więzieniu za kilkunastu bramami zamknięta i całkiem opuszczona. Wprawdzie opuszczenia tego, śpiąc wiecznie, czuć nie mogłam — ale też tem przykrzejsze jest zbudzenie, gdy się jest przekonanym, że się najpiękniejsze swe młode lata martwo przespało. Chodźmy ztąd, szlachetny rycerzu, a na wolnem powietrzu, do którego tak tęsknię, opowiem ci moje przygody i okoliczność, dla której się tutaj dostałam. Ciekawe to i nadzwyczajne rzeczy, a o ile mi się zdaje, będą one w ścisłym związku z naszemi!

Reinhold ujął więc piękną dziewicę pod rękę i przeprowadził ją przez liczne komory, krużganki i pokoje na świat wolny, świeży i jasny. Gdy już o jakie kilkaset kroków oddalili się od zaczarowanej bramy i zaczarowanego budynku, niewiasta usiadła na jednym z licznych pniów drzewnych w lesie i poprosiwszy rycerza, aby obok niej na sąsiednim pniu także usiadł, poczęła opowiadać:

— Nazywam się Hildegardą i jestem córką księcia Pomeranii. Książę Serbów, zwany — złym bykiem — chciał pojąć mnie za małżonkę, ale ponieważ był poganinem, przytem olbrzymem i czarnoksiężnikiem, w żaden sposób przystać na to nie mogłam. Wtenczas wydał on wojnę memu ojcu, zabił go w bitwie i kraj jego sobie przywłaszczył. Ja zmuszona byłam uciekać do siostry mego ojca, hrabiny Toburg, gdyż wszyscy trzej moi bracia, dzielni rycerze, byli gdzieś na wyprawach rycerskich. Raz, gdym wybierała się z wujem moim na polowanie, jakiś nieznany mi koniuszy, przywiódł przedemnie ślicznego wierzchowca, ofiarując mi go w imieniu swego pana, którego nazwiska nie chciał na razie wymieniać. Miałam się o niem dopiero dowiedzieć wtenczas, gdy konia przyjmę i na pierwszem spróbuję go polowaniu. Koń był istotnie piękny, przedniej rasy, do tego bogato ubrany i niezwykłego ognia — nic w tem dziwnego, że spodobał mi się bardzo i przyjęłam go z podziękowaniem. Dosiadłam nowego wierzchowca natychmiast i wyruszyłam na nim na polowanie. Niósł tak delikatnie i lekko, że go prawie nie czułam pod sobą nawet wtenczas, gdy szerokie rowy i fosy przemierzał.

Naraz spotkałam w lesie ślicznego całkiem białego jelenia. Upolować taką rzadkość i poszczycić się takim myśliwskim zaszczytem przed innymi, było jedynem teraz mojem życzeniem. Jak szalona puściłam się za nim w pogoń, chcąc go dostać żywego. Koń pędził jak wicher, ale nieszczęsny jeleń jeszcze prędzej. Oddaliłam się tak od reszty towarzystwa, że głos ich mnie nie docho dził. Gdy strwożona chciałam, poświęciwszy piękną zwierzynę, nawrócić do swoich, koń w żaden sposób ugiąć się nie dał i za każdem silniejszem szarpnięciem lejc stawał dęba. Na krzyk mój nadbiegł niewiedzieć zkąd ów koniuszy, który był u mnie rano i pomógł mi zejść z rozzuchwalonego rumaka. Teraz dopiero zauważyłam przed sobą dziwny budynek ze stalową bramą, która w tej chwili właśnie na szerz się otwarła. Koniuszy przemocą zaprowadził mnie do wnętrza tego budynku, gdzie we wspaniałych komnatach, bawiąc się huczno, liczne siedziało towarzystwo. Onieśmielona tem nie wiedziałam co począć, gdy w tem w koniuszym poznałam samego księcia Serbów który padłszy przedemną na kolana, błagał mnie o współczucie dla siebie i wzajemną miłość. Ze wstrętem odepchnęłam go od siebie, co go tak rozwściekliło, że trzęsąc się i pieniąc od gniewu, groził mi zburzeniem swego zamku, pod którego gruzami marnie przyjdzie mi zginąć. Powiedziałam mu, aby robił, co mu się tylko rzewnie podoba, gdyż wolę natychmiastową śmierć, niż długie przymusowe z nim życie!

Wtenczas począł on wyć i ryczeć tak przeraźliwie, że mi włosy dębem na głowie stanęły — i z takim gwałtem wypadł z pokoju, że aż zatrzęsły się mury i ziemia. Nieprzytomna padłam wtenczas na ziemię i zasnęłam głęboko. Był to sen zaczarowany, z którego wtenczas tylko chwilowo się budziłam, gdy książę z natarczywą swą prośbą przychodził do mnie co dni kilka, myśląc, że się na to szkaradne małżeństwo zdecyduję. Ale nie mogłam tego uczynić i żadna inna nie uczyniłaby niewiasta.

— Więc śpij sobie! — zawołał z wściekłości i podniósł tablicę na wierzch kolumny. I zasnęłam nie wiem na jak długo. Wpierw jednak zapowiedział mi, że się zemści i na braciach moich i zamieni ich, wraz z całem ich rycerstwem w leśne zwierzęta. Nie wiem jednak, czy to zrobił! — Tak opowiadała Hildegarda.

Reinhold wyspowiadał się nawzajem przed nią ze swoich przygód, z czego dowiedziała się Hildegarda, ku wielkiemu swojemu smutkowi, że książę Serbów groźby swojej dotrzymał.

Gdy tak jeszcze z sobą rozmawiali, nadjechało mnóstwo wozów i koni, rycerzy o lśniących zbrojach i piechoty w zbitych szeregach — słowem liczny lud uzbrojony. — Byli to owi zaczerowani trzej bracia, szwagrowie Reinholda: Albert, Edgar i Ufo z swemi żonami dziećmi i dworem. Trudno opisać radość, z jaką witali się z sobą, całowali i ściskali. Po licznych na miejscu spełnionych wiwatach, wszyscy ruszyli teraz wspólnie na zamek rodziców Reinholda, którzy żyli dotąd, znacznie co prawda podstarzali, lecz silni jeszcze i zdrowi.

Wtedy dopiero rozpoczęły się zabawy i uroczystości, które nieprzerwanym szeregiem calutki rok trwały. Rozbrzmiewała od radości okolica cała i kraj cały. W lesie, w którym przedtem nie wolno było nikomu polować i na jeziorze, z którego nie wolno było wziąść jednej rybki, odbywały się teraz olbrzymie polowania i połowy. Lud okoliczny obdarzono różnymi przywilejami i na pamiątkę tak ważnego zdarzenia, każdy z trzech braci, jak również Reinhold i Hildegarda, powznosili wspaniałe świątynie. Poczem każdy z nich obrał sobie pewien kraj i pobudowawszy w nim grody, zamieszkał. I tak Albert-niedźwiedź wziął w posiadanie kraj, zwany od niego Miśnią, bo wiadomo, że miś znaczy tyle, co niedźwiedź. Drugi Edgar-orzeł założył miasto i zamek w Szwajcaryi, zwany w tamtokrajowym języku Aarburg, t. j. gród orła. Od niego także wzięła nazwę rzeka szwajcarska, obok wspaniałego miasta płynąca, a mianowicie rzeka Aar Trzeci Ufo-ryba, wziął w posiadanie kraj we Francyi i nazwał go od ryby morskiej, delfina, delfinatem (Dauphine). Zły Byk został w wojnie z czeską królową Libuszą, która większe jeszcze umiała czarnoksiężkie sztuki, zupełnie pobity i do niewoli wzięty, a wreszcie pozbawiony życia. Reinhold zaś ożenił się z piękną Hildegardą i zamieszkawszy w starym rodzinnym zamku, przy boku rodziców — żył z żoną długie lata szczęśliwy, pobłogosławiony licznem potomstwem, któremu ogromne pozostawił dobra i majątki.

KONIEC.

O szpetnym garbusku i o trzech wróżkach.

Na końcu wioski stała uboga chatka, a w tej chatce żyła biedna wdowa z córką.

Całe swoje życie wdowa przebiedowała i jedyną jej nadzieją na starość mogłaby być córka, ale coś Pan Bóg nie był łaskaw na nią, gdyż przy dobrem sercu, dał twarz tak niepiękną i garb tak szpetny, że była z brzydkich najbrzydszą.

Biedna więc matka nie miała nadziei, żeby upośledzona córka za mąż wyjść mogła, a bez tego nie widziała ani szczęścia dla niej, ani pociechy i przytułku dla siebie.

Jednego razu córka biednej wdowy, szpetny garbusek bieży z dzbanuszkiem po wodę do zdroju, aż oto opada ją swawolna dziatwa z wioski i tak przedrażnia i wykrzywia, — że matka-garbuska widząc to z wrót swojej chatki, gorzko zapłakała.

— Czego płaczesz, biedna wdowo! — zapytały trzy wróżki w przelocie tamtędy.

— Jakże nie mam płakać — odpowiada wdowa — kiedy oto widzicie, jak dziatwa mego biednego garbuska opadła i jak się z niej niebogiej natrząsa!

— To nic, matulko! z czasem twoja córka królować będzie.

Wróżki to rzekły i poleciały, a do serca wdowy wstąpiła radość od dawna nieznana, błysnęła nadzieja w przyszłości, bo przepowiedni wróżek uwierzyła i czeka tylko tej chwili szczęśliwej, kiedy się ziści.

Czeka jednak i doczekać się nie może; od przepowiedni wróżek już dziesięć lat upłynęło, a po rękę biednego garbuska nie tylko żaden król nie przybywa, ale najuboższy nawet parobczak z daleka ją omija.

Wzięła nakoniec wdówka na rozum: myśliła, myśliła i przymyśliła.

Chatkę i wszystkie swoje rupiecie sprzedaje, wynosi się w odległe strony, gdzie nikt ani jej, ani córki nie zna; wynajmuje chatkę przy wielkim gościńcu, w bokówce z malutkiem okienkiem od ogródka, zamyka garbuska, uczy ją, żeby serdeczny palec lewej ręki smoktała, a sama co dzień pachnące zioła gotuje i wonnym wywarem drogę naprzeciw chatki polewa.

W miesiąc czy we dwa, przejeżdża tamtędy król owego kraju, zatrzymuje się przed chatką, wywołuje wdowę i pyta:

— Powiedz mi, kobietko, co to tak wonnego przed swą chatką wylewasz?... jak żyję, tak przyjemnej woni nie czułem.

— Najjaśniejszy królu i panie — odpowie wdowa — wylewam wodę, w której się moja córeczka myje.

— Pokażcie mi twą córkę — król rzecze, musi być bardzo piękna, kiedy woda, w której się myje, tak wonna.

— Córka — istny cud piękności!... ale to moja bieda, że pokazać się nikomu nie może, bo się niezmiernie uroków boi, i wróżki jej przepowiedziały, że jeżeli cudowną swą piękność przed zamążpójściem komu ukaże, nagle zachoruje i umrze.

Król tak zapragnął widzieć niby piękną córkę wdowy, że zaczął ją prosić, aby mu choć koniuszek paluszka swej córki popokazała.

Przyprowadza więc króla do zamkniętych na klucz drzwi bokówki, garbusek przez wywiercony umyślnie mały otwór wytknęła serdeczny palec lewej ręki, który był tak malutki, tak bielutki, że król go ucałował i tak się w mniemanej piękności rozmiłował, że oświadczył się wdowie o rękę jej córki.

— Zgadzam się, najjaśniejszy królu — odpowiedziała nieposiadając się z radości wdowa — ale pod tym warunkiem, że jutro wieczorem przywiozę ją do królewskiego pałacu, a król poślubisz ją zakrytą, przy świetle tylko księżyca.

Król zgodził się na wszystko, odjechał, i nazajutrz pojazd po narzeczoną przysyła.

Wdowa otuliła swego garbuska tak dobrze, że ani brzydkiej jej twarzy, ani szpetnego garbu nie było widać, wsiada z nią do pojazdu, przeżegnały się obie i ruszyły w drogę.

Wieczorem przybyły do pałacu królewskiego, i oto w ciemnym pokoju, przy świetle księżyca, król bierze ślub ze szpetnym garbuskiem, a wdowa widząc, że jej córka została już żoną króla, cichaczem z pałacu drapnęła, na gościniec przybiega, pod krzyżem usiada, i wkrótce w głos zapłakała.

— Czego płaczesz, biedna wdowo! — zapytały trzy głosy w górze, a było to też same co dawniej trzy wróżki lecące tędy.

— Jakże nie mam płakać — odpowiada wdowa — kiedy oto tym a tym sposobem córkę za króla wydałam.

I wszystko opowiedziała, a wróżki na to:

— Lękasz się skutków twego oszukania, a czemu nie lękałaś się samego oszukaństwa?

— Wszakżeście same przed dziesięciu laty przepowiedziały, że moja córka z czasem królować będzie, dopomogłam więc przeznaczeniu, które nadto się już opóźniało; uczyniłam to jedynie przez zbytnią moją miłość ku biednej córce.

— Każdemu niezbędnie trzeba przez ciernie dążyć do Nieba; kto się więc tylko tu rodzi, skoro drogą prawdy chodzi, im więcej cierpi, bieduje, tem pewniej z Bogiem króluje, ale króluje już wtedy, gdy zbywszy się trosk i biedy, przez śmierć z marnej doczesności przejdzie do dziedzin wieczności, i takie to właśnie królestwo, przepowiadałyśmy twej córce; nie płacz jednak, bo ponieważ za zły swój uczynek żałujesz, i popełniłaś to jedynie przez zbytek miłości macierzyńskiej, — może ci więc Bóg winę przebaczy, a my twej córce dopomożemy — miej nadzieję.

To mówiąc, wróżki poleciały, a wdowa uklękła i modlić się zaczęła.

Kiedy król wziął już ślub z garbuskiem, księża z drużbą odeszli, a pozostawszy sam na sam z królową, król chciał swoją żonę zaraz obaczyć, uchylił więc zasłonę, spojrzał przy blasku księżyca, i oto gdy szpetną, starą i garbatą przed sobą zobaczył, — tak okropny wstręt uczuł, tak się za oszukaństwem obraził i gniewem uniósł, — że biednego garbuska chwycił okno odemknął i pchnął z drugiego piętra, a sam położył się zmartwiony i zasnął.

Garbusek przez okno rzucona, zginęłaby w głębokim kanale, który u dołu płynął, ale w tejże chwili nadleciały trzy wróżki, podchwyciły ją w powietrzu, i bez żadnego szwanku na kwiecisty trawnik królewskiego ogrodu spuszczają.

— Gdzie moja matka? — zawołała garbusek ochłonąwszy z przestrachu.

— Twoja matka jutro do pałacu przyjdzie i zostanie teścią królewską, a ty prześliczną będziesz królową, obróć się tylko twarzą do księżyca i oczy zamruż.

Garbusek to uczyniła, a trzy wróżki pobrawszy się za ręce, wzięły ją w środek, i kręcając się w koło, każda z kolei rzecze:

Ja cię darzę pięknością!
Ja cię darzę młodością!
Ja cię darzę rozumem!

Poczem wróżki zniknęły, garbusek uczuła się jakby odrodzoną, i gdy wkrótce świtać zaczęło, zdziwiona i uradowana, uj-

rzała się w kosztownych szatach, ze ślubnym wieńcem na skroniach, z brylantowemi pierścieniami na palcach, a postać jej tak była wysmukła, szykowna i zgrabna, że prędko do strumyka pobiegła i gdy się w nim przejrzała, z radości aż krzyknęła! — tak była piękna i młoda.

Uszczknęła więc z kwietniczka kilka ładnych różeczek, i przechadza się po dróżynie przeciw okien sypialni królewskiej.

W tej właśnie chwili król się ocknął, przystąpił ku niemu jeden ze straży i oznajmuje, że przybył wojewoda z senatorami, chcąc obojgu królestwu swój hołd i życzenie złożyć.

Król w zakłopotaniu nie wie co począć, i w kwaśnym bardzo humorze przez okno spojrzał, chcąc ofiarę swego gniewu obaczyć.

Wtem o dziwo!... na dróżce przeciw okna, widzi taką piękność cudowną, jakiej ani oko widziało, ani ucho słyszało!

Szybko więc przez drzwi tylne zbiega na dół, przychodzi do ogrodu, stanął zachwycony przed pięknością nieznajomą i pyta:

— Kogo mam honor widać w moim ogrodzie?

— Swoją żonę, którąś przez okno wyrzucił.

— Byćże to może?... przebacz królowo! — król zawołał i przeprosiwszy ją grzecznie, bierze pod rączkę, prowadzi do pałacu, do sali tronowej, okazuje zgromadzonym senatorom i panom, jako ich królowę a swą żonę, i posadziwszy obok siebie na tronie, powinszowania i hołdy ich przyjmuje.

.Wnet wieść po pałacu, a ztamtąd po stolicy gruchnęła, że młoda królowa jest tak piękna, tak mądra, — że każdy kto na nią spojrzy — zapatrzy się, każdy kto ją usłyszy — zasłucha się!

Dowiedziawszy się zaraz o tem wdowa, matka garbuska, a dzisiaj królowej, niezwłocznie do pałacu przybyła, ukoronowanych nowożeńców pobłogosławiła, wszelkiego im dobra i szczęśaia życzyła, i sama na zawsze przy nich została.

KONIEC.

W. BOGUSŁAWSKI,

CUD

CZYLI

KRAKOWIACY I GÓRALE

W TRZECH ODSŁONACH.

(Ciąg dalszy).

Dorota *(ciągnie ją za suknię).*

Cyt-ze.

Stach.

Mów wyraźnie.

Dorota.

Milc-ze, bo jeśli z głupiem słówkiem się wyśliznies
To cię tak palnę w papę, ze się az obliznies.

Morgal.

To się panna Barbara pewnie tylko draźni,
Zwycajnie się panienki psed ludźmi sromają,
Nigdy nie mówią tego, co w serdusku mają.

Bryndus.

Ja tes tak myślę. Bo tes Bogu wejcie dzięki,

Tak dobze jak i drugi wartem Baśki ręki.
Wsak ja psecie nie wypadł sroce z pod ogona,
Ras mi Baśka pses ojca była pseznacona,
Tego się tsymam: dla niej, choć z niemałą stratą,
Odzuciłem niedawno dziewcynę bogatą.
A wsyscy mnie z nią chcieli poswatać Górale,
Miałać tes i dobytek, miała i korale.
I spore stado owiec, i płócien niemało,
Aleć mi się to wsystko lichem w ocach zdało
Jakem wspomniał na Basię: daby na Panusko,
Na cós się to z tem taić co cuje serdusko?
Wiem, ze mnie kochas, bo tes mas co kochać we mnie,
Psypatsno się, jak zewsąd wyglądam psyjemnie.

SPIEWKA.

Kazda mi mówi dziewcyna,
Zem chłopak chozy i rosły,
Wysmukły jestem jak tscina,
Chodzę jak zuraw wyniosły.

Wąs carny, wargi zwiesiste,
Ustecka, kieby malował,
Ciałecko białe i cyste,
Boh się na mlecku wychował.

Kiedy siekierką charcuję,
Wsyscy odemnie zmykają.
Dziewki mnie okiem zmiezają,
Kiej im z węgierska tańcuję.

Będzies się mogła pochlubić,
Żeś se chłopacka dobrała,
Po ślubie mnie będzies lubić,
Byleś mnie lepiej poznała.

Stach.

Nie wytsymam i gzmotnę w kark samochwała.

Jonek.

Cicho, będzie cas na to.

Basia.

Nie wiele dobrego
Mówią sąsiedzi o tym, co się sam wychwala.

Morgal.

Panienko, nie mas u nas zadnego Górala,
Coby nie psyznał prawdy panu Bryndusowi.
On pierwsy rej prowadzi pomiędzy chłopaki.
On to najzręcniej pstrągi i lepienie łowi,
On, jak kot łapie w sidła kwicoły i spaki.
Biega wej kieby jeleń mil piętnaście na dzień
Do Warsawy tes często chodzi z obrusami
Co on się tam nasalał! oj, jemu z nas zadzień
Niesprosta, ma tes olej w głowie.

Swistos.

On wej z nami
Dwa razy w rok na odpust chodzi do Krakowa.
On kompanię wodzi, jako pierwsa głowa
A gdy do Karmelitów psychodziem na Piaski,
On nas zawse tak suto częstuje z swej flaski
Ze, jak po nabozeństwie z kościoła wyjdziewa,
Co do ksny wsyćką zepe w Krakowie wyjewa.

Morgal.

Łatwoć mu mieć psyjaciół, bo tes ma grose,
A więc ja, jako pierwsy druzba panny prosę
Aby nie zwłocąc dłuzej chwalebnego dzieła
Do serca i do chaty swojej nas psyjęła,
Wpsódy jednak, jak kaze zwycaj bądźcie gzecni,
Psypatsyć się, jak wasi sąsiedzi zazecni
Śpiewają i tańcują według swojej mody,
Kiej we swaty psychodzą, do obcej gospody.
Nus chłopaki do skoków, siądźcie gospodaze
Ja psyśpiewywać będę, zagrajcie dudaze.

MAZUR GORALSKI.

Darmo Baśka od nas stroni,
Bo jus Góral za nią goni,
Góral ma nogi bocianie,
Kogo zechce, to dostanie.
Prózno więc nie uciekajta,
Lepiej się same poddajta.

Ras się Dosia Bartka bała,
I na górę uciekała.
Ale tes za to z wieschołka,
Wywróciła w dół koziołka,
Pasteze się śmiali z Dosi,
Bo widzieli u niej cosi.

Łapał góral Jemiołuchy,
Skraść mu je chciały dziewuchy,

A ze sidła porusyły,
Same się siatką nakryły.
On tez z niemi, jako z ptaski
Obsed się za te igraski.

Stała panna nad strumykiem,
I nazwała Jonka bykiem,
On za takie bzyćkie słowo,
Nawzejem ją nazwał krową.
Teraz płace i nazeka,
Nie nazywał bykiem cłeka.

Bartłomiej.

Prosiewa teras z nami wspołem na śniadanie,
Potem z sobą o zecy pomówiewa.

Dorota.

Panie
Bryndus, weście za rękę swoję nazeconą,
Wsak ona jus nie długo, będzie wasą zoną.

(Cicho do Basi).

Dajze mu rękę, ani słowa piśnij.

Stach.

Dziwy,
Ze jesce dotąd zyję.

Bardos *(do Stacha).*

Bądź tylko cierpliwy.

Stach.

Ej, daj mi Waspan pokój, niemądry, kto ceka,
Zwłasca wtencas, kiedy mu wej bieda dopieka.

Bartłomiej.

Prosiemy.

Dorota.

Prosiem z sobą.

(Górale i Bartłomiej odchodzą).

Stach *(zatrzymuje Dorotę).*

Ej Pani Doroto!
Zmiłujcie się nademną.

Dorota.

Nic z tego niecnoto,
A dałeś mi całusa? cierp teras.

(Odchodzi).

Wawrzeniec *(do Krakowiaków).*

Wy nasi
Państwo młode i wielebni goście,
Za Góralami do karcmy powróćcie.
Nie dajcie tes pod niebem zostać organiście.
Obudźcie go, niech wstanie.

Stara baba.

Ochlał się wiecyście,
A samo tylko pije, nikogo nie prosi,

(Budzi go).

Hej, panie Miechodmuchu!

Miechodmuch *(rozespany).*

Wiem, że Zosi
Wesele, wiem; winszować trzeba, panno
Śliczna! młoda i żywa! obyś nieustanną
Rozkosz miała! obyś! obyś!...

(Mając oczy zamknięte, rozumie, że panna młoda przed nim stoi, a tu baba za każdem słowem kłania się).

Baba.

Skończcies oracyje,
Wypijcie psecie do mnie, ja do was wypiję.

Miechodmuch.

Podźma do karczmy.

(Odchodzi).

Baba.

Zgoda.

SPRAWA XII

Wawrzeniec, Stach, Jonek, Bardos.

Stach.

Ach! ojce kochany,
Co tes to z tego będzie?

Wawrzeniec.

Juzbym był ządanej
Dobił wreście ugody, gdyby się Górale
Nie tak prędko zjawili, ojciec ci chce, ale
Macocha, ani gadaj.

Stach.

Bieda tes to moja.

Jonek.

Pocies się tem, ze Baśka pierwej była twoja.

Bardos.

No, moi przyjaciele, widzę, że tu trzeba
Dopomódz wam, i sądzę, za pomocą Nieba,
Że mi się to i gładko i pomyślnie uda;
Porwać komu dziewczynę, to nie wielkie cuda.
Stachu, do Baśki ręki ty masz prawo wprzódy,
Bo tego żywe możesz postawić dowody.

(Cicho do Stacha).

Owa krówka i owe turkawki na pniaku;
Jużbym ci był dopomógł dotychczas biedaku,
Chciałem z Dorotą mówić, gdy stała przed sienią,
Lecz ważną miałem wtenczas przeszkodę, pieczenią.

(Głośno).

Teraz tedy słuchajcie, taka moja rada:
Już to cierpieć i taić dłużej nic nie nada,
Otwarcie działać musim. Wam ojcze koniecznie
Trzeba teraz pójść z synem, głośno i statecznie
Oświadczyć: że, ponieważ już to wam jest jawno,
Że Stach z Basią nieżartem kochają się dawno,
Więc na to żadną miarą wy nie pozwolicie,
By dwoje ludzi zgubić na całe ich życie.
Basia też z swojej strony niechaj się przyłączy
Do was, niechaj wbrew powie, że Stasia samego
Kocha, i że nie pójdzie nigdy za innego.

Wawrzeniec.

Lec to, mospanie student, cicho się nie skońcy.
To narobi hałasu i wrzasku.

Bardos.

Cóż bez niego
Kończy się dziś na świecie? ale po hałasie
Znowu, zgoda i pokój nastąpi; już ja się
Tem zatrudnię, i wszystkich rozumu mojego
Poruszę sprężyn, by was pogodzić.

Stach.

A kiedy
Psyjdzie z nami do bitki?

Jonek.

A cózby to biedy
Było?

Bardos.

To próżna trwoga, nigdy, ani was tu
Nie ruszą, przecie ich tu ledwie kilkunastu,
A gdy ujrzą brak siły, będą się was bali,
I muszą wreszcie przystać. Śpieszcie jeno dali,
Bo to z czasu korzystać trzeba.

Wawrzeniec.

Mój Jegomość,
Jaka się tylko w domu znalezie ruchomość,
Parę butów — półsetek płótna, capkę nową,
Damy ci, byleś tylko radził swoją głową.

Stach.

Znajdzie się i gros w kabzie, jeźli chces pieniędzy.

Bardos.

Już ja niczem nie gardzę, tylko idźcie prędzej.

Wawrzeniec.

Więc pódźwa.

(Odchodzi ze Stachem).

SPRAWA XIII.

Jonek i Bardos.

Bardos.

Ty tu Jonku zostań się mój bracie,
Wy się, jak widzę, bardzo ze Stachem kochacie,
Więc ty jego najlepiej wiesz wszystkie skrytości.

Jonek.

Gdyby z rejestru.

Bardos.

A wiesz też co o miłości
Doroty ku Stachowi?

Jonek.

Wsytko wiem mój Panie.

(Ciąg dalszy nastąpi).